ROZMAITOŚCI.



Dnia 10 lipca, Ner. 28. roku 1847.

WOREK Z PIENIĘDZMI.

Z angielskiego J. A. St. John.

Wszyscy prawie Arabowie mają osobliwszy dar opowiadania. Mój arabski nauczyciel, rodem z Kairu, celujący nad innych w téj sztuce, opowiadał mi często w tak zwanéj *lingua franca* historyje, które w dziwny sposób ciekawość moję zajmowały. Nieraz zapewne należało ten powab przypisać jedynie ruchom i minom, jakie według oryjentalnego zwyczaju opowiedaniu towarzyszyły. Jednakże jedna z tych powieści zachwyciła mię szczególniéj swoim urokiem; nazywa się ona »worek z pieniędzmi«. Słyszałem ją często opowiadaną przez mego nauczyciela w gronie brodatych muzułmanów, nad wybrzeżami Nilu. Opowiém ją moim czytelnikom ile możności własnémi pierwotnego opowiadacza słowami:

W ostatniéj wojnie między Turkami a Persami zdarzyło się, że wbrew tureckiemu zwyczajowi, wzięto pewnego młodego Persa w niewolę. Dostał mu się za pana stary, sędziwy muzułmanin, żyjący bardzo zacisznie w samotnym dworku wiejskim, leżącym po lewym brzegu Tygru, w pobliżkości Bagdadu. Jako prawowierny Turek należał on do sekty Sunitów, i wierzył święcie, że wszyscy Szyici, jakimi właśnie Persowie się wyznają, na tym świecie koniecznie niegodziwymi muszą być ludźmi, a na tamtym za to srodze też pokutować będą. Ztąd chociaż perski jego niewolnik, imieniem Szamak, po tysiąckroć powtarzał, że tylko »Jeden jest Bóg, a Mahomet jego prorokiem«; przecież miał go stary Kamar za nieszczęsnego potępieńca, i gnębił go, ile razy to potrzebném mu się być zdało. Atoli Szamak umiał sobie należyte zjednać poważanie, a po niedługim czasie powziął zacięty Sunita daleko korzystniejsze wyobrażenie o jeńcu.

Jakoż rozmawiał z nim niekiedy o koranie, lecz tracił zwykle wszelką cierpliwość, gdy młody kacerz wynurzał swoje uszanowanie dla Alego, naczelnika sekty Szyitów. Ztémwszystkiém chętka dysputowania jest wszystkim ludziom wrodzona, a tak i stary Kamar wracał zawsze do swego przedmiotu, skoro tylko sam na sam z Szamakiem zostawał; a od czasu do czasu brał go też z sobą w podróż do Bagdadu, Hillah albo Medain.

W jednéj z takich wycieczek, gdy obaj właśnie po prawym brzegu Tygru się znajdywali, opadła ich nagle banda kurdyjskich zbójców, którzy ubogiemu niewolnikowi nic nie czyniąc, targnęli się na bogatego pana, ściągnęli go z konia, i chcieli go zrabować. Będąc, jako Kurdowie, poddanymi króla perskiego, mogli uchodzić za rodaków Szamaka, który wnet pojął, że potrzeba mu się było tylko z nimi połączyć, aby wolność odzyskać. Ale że Kamar był stary, słaby, i mimo swojéj chętki do dysputowania, wiele dobrego mu wyświadczał, zresztą że miał tu przemoc przeciw sobie; przeto godziło mu się pomódz, zwłaszcza kiedy ani słowa nie mówiąc, błagalnie na jeńca swego spoziérał. Nie słuchając więc innego uczucia, jak tylko uczucia wdzięczności i litości; postanowił Szamak obronić starca, i wywinąwszy jednemu ze

zbójców oszczep z ręki, przebił go nim na wylot, a resztę do szybkiéj ucieczki zmusił. Poczém wysadziwszy znowuż pana swego na konia, wyskoczył sam na odbieżonego przez zbójców rumaka, i puścił się w czwał przodem ku rzéce Tygru, którą szczęśliwie przebyli.

Piérwszym popędem Kamarowego serca było: uwolnić uczciwego niewolnika, i obdarzywszy go hojnie, pozwolić mu wrócić do domu. Atoli wziąwszy na rozwagę, iż w ten sposób mysiałby się rozstać z wiernym sługą, którego prawie miał już za przyjaciela, zmienił starzec swoje szlachetne postanowienie. Bo też w istocie kochał on zanadto Szamaka, aby go bez żalu miał utracić; i tak z saméj miłości ku niemu, nie wiedział wcale, jak mu się miał wywdzięczyć. Rozmyślał więc nieustannie nad tém, lecz jako rozsądny i mądry człowiek, krył się starannie z swojémi dobrémi chęciami dla młodego jeńca, aby ten przez to samo w pychę się niewzbiwszy, przedwczesnémi uroszczeniami łask starca niegodnym się nie okazał. Zresztą było jeszcze coś w domu Kamara, co przypadkiem przez Szamaka postrzeżone, o wiele obojętnieszym względem odzyskania wolności go uczyniło. Byłato córka starego muzułmana, Fatyma, która zwyczajem wszystkich młodych dziewcząt, miała daleko liberalniejsze zasady niż jéj ojciec.

Fatymę obaczyć, i Fatymę pokochać, byłoto jedno. Miała około lat ośmnaście; w którymto wieku kobiéty na wschodzie, zenitu swojéj piękności i pełni dochódzą. Również i Fatyma była w kwiecie swych wdzięków i jużto od dawna zwróciła była oko na młodego Szamaka, który jakby umyślnie na to od natury był stworzonym, aby najgwałtowniejszą namiętność uczuwał, i takowąż w innych wzbudzał. Postać jego była smukła, lekka i zwinna, rysy nadobne, oko, jak u Achila, siwe, pełne mezkiéj odwagi i wyrachowanéj roztropności, a teraz posępną niekiedy przyćmione melancholiją. Przy takiéj osobistości, zdolnéj za prawdę wzniecić najżywszą miłość w sercu dziewczyny jak Fatyma, miał jeszcze tak hardą duszę, żeby nie wahał się był nawet po rękę księżniczki sięgnąć. Właśnie przed swojém wzięciem w niewolę, zastanowił się był głębiéj nad stosunkami tego świata, i przekonał się stanowczo, że wszyscy ludzie od jednych i tych samych rodziców pochodzą, a przeto jakąkolwiekby sobie towarzyszkę dozgonną obrał, będzieto zawsze krewna, bratanka. Dla tego nawet i w niewoli duch jego skrzydeł nie opuszczał.

Widząc Fatymę po raz piérwszy, uczuł i uznał Szamak od jednego spojrzenia, iż ona jest jedyną istotą na świecie, którą on bezwarunkowo uwielbiać może; ale czy jego miłość szczęśliwą będzie, to wcale innem było pytaniem. Pojął on dokładnie trudności, wynikające z jego położenia; jednakże nie było już na to rady. Szamak już kochał.

Co do Fatymy, ta, chociaż już wielu młodych ludzi widziała, nigdy przecież najmniejszéj dla nich skłonności nie czuła; i wielce się też zdziwiła, doznając nieznanych popęd uczuć. Gdyż tkliwy kwiatek miłości, aczkolwiek niekiedy sztucznie pielęgnowany, przecież tylko w promieniu prawdziwego słońca dojrzéwa. Że Szamak, który dziś jarzmo niewoli dźwigał, niegdyś był wojownikjem, wiedziała Fatyma, a sądząc po jego powierzchowności, pochodził on zapewne ze znakomitéj rodziny. Nie ubliżała sobie tedy córka Kamara, obdarzając młodego jeńca miłością. Ale chociażby sobie nawet i ubliżała, nie było na to już rady; bo Fatyma już kochała.

Zwykle mają opowiadacze do odmalowania tyraniję rodziców, i wybiegi kochanków, jakiémi oni stawiane sobie zapory ominąć usiłują. Atoli w tym razie ojciec nie był tyranem. Kochał on swoję córkę; a to tém mocniéj, ile że ona jedyném jego dziécięciem była, i ciągle matkę swoję w pamięć mu przywodziła, matkę, którą on bardzo kochał, a która teraz w raju mieszkała. Ztémwszystkiém nie mógł Kamar bez bolu tego odkrycia zrobić, że Fatymie młody jeniec wpadł w oko; jednak nie dla tego bolał, że Szamak nie był wysokiego rodu, lecz dlatego, że był Szyitą, a przeto na wieki bez wybawy potępionym. Zarazem wierzył starzec w to święcie, że wszyscy Persowie są kłamcami, obłudnikami, zdrajcami, a chociaż Szamak życie mu ocalił, mogło to być tylko chwilowym i przemijającym popędem dobroduszności. Zaczém postanowił stary muzułmanin rozsądnie o tém z córką pomówić, i przyjaźnie od jéj zamysłów ją odwieść. Mając do czynienia z dziewczyną, jaką Fatyma była, nie mógł stary żadną miarą inaczéj sobie postąpić.

Na zapytanie ojca: czy kocha Szamaka, wyznała to Fatyma otwarcie, dodając, iż on jedynym na świecie jest mężczyzną, któremu rękę odda. To naprowadziło starca na wniosek, iż kochankowie już się z sobą porozumieli; ale wynurzywszy swéj córce to podejrzenie, dowiedział się od niéj z radością, iż prawie jeszcze ani razu, a tém mniéj o miłości z sobą nie mówili, i że dopoląd tylko mowa oczu, ich sercom służyła.

Ta okoliczność zdawała się staremu Kamarowi być dobrą wróżbą; i zaczął córkę różnémi przekonywającémi sposoby od jéj miłostek odwodzić. Między innémi, aby jéj skłonność zachwiać, upewniał ją, że chociaż ona temu wierzyć nie zechce, przecież Szamak chętnieby się jéj wyrzekł, gdyby tylko wolność i rodzinę mógł odzyskać. Na tę myśl Fatyma pobladła, a po krótkim namyśle odrzekła uroczyście, iż gdyby się o tém przekonała, samaby mu środków do ucieczki nastręczyła!

»Bóg wielki!"— odpowiedział ojciec. »Doświadczmy go; a jeżli twój widok przeniesie nad swobodę, wtedy przysięgam na duszę mego ojca: chętnie mu dam moje jedyne dziecię, rozkosz moich oczu, córkę mojéj Mendeli." — I łzy mu stanęły w oczach gdy sobie przypomniał żonę swojéj młodości, i przypomniał sobie miłość, którą dla niéj niedgyś, a nawet i teraz czuł jeszcze, lubo fórta grobowa dawno już się za nią zamknęła. I Fatyma też była wzruszoną, i z płaczem ojcu zaręczyła, że jeżli młody Pers takim się okaże, jakim on go być mieni, tedy wyrwie sobie obraz jego z głębi serca, chociażby jéj to śmierć zadać miało. Na to uspokoił się Kamar, i prosił córkę, aby także była spokojną, oświadczając, że idzie rozważyć należycie, jakimby sposobem miłość Szamaka najlepiéj na próbę wystawić można.

Kto raz kochał, i przedmiot swojéj miłości stracił, łatwo pojmie podwójny ten węzeł, jaki starego Kamara z córką łączył, i zdoła ocenić uczucia, które w jego postępowaniu go wiodły. Owoż postanowił podsunąć Szamakowi środek wydobycia się z niewoli i umknięcia za granicę; ale zarazem przygotował się w przeciwnym razie dotrzymać słowa, i oddać rękę córki niewolnikowi, gdyby tego dowiódł, że jest jéj godnym.

W pobliżu wiejskiego mieszkania Kamara był gaj cienisty, rozciągający się aż ku wybrzeżom Tygru, w którymto gaju starzec przeciw powszechnemu zwyczajowi Turków, częstokroć się przechadzał. Prócz niego, mało tam kto bywał, chociaż miejsce to nie należało do posiadłości Kamara, i każdy śmiało tamtędy mógł przechodzić. Atoli okolica tameczna była bardzo rzadko zaludniona, a przechadzka na wschodzie nie jest w zwyczaju. Szamak towarzyszył tam często swemu panu, i sam też nieraz miejsce to zwidzał. Tak też jednego wieczora przechadzał się zakochany niewolnik długo po gaju. Księżyc w pełni przyświécał na czystém niebie, i ronił długie śrebrzyste pasma wzdłuż zatoki. Gdy Szamak ku rzéce się zbliżył, zwróciło się mimowolnie oko jego ku szérokiéj po tamtym brzegu równinie, i ku owym dalekim w głębi jéj wzgorzom perskim, po za któremi stała jego ojczysta zagroda, a w téj zagrodzie jaśniały te macierzyńskie oczy, co nad jego młodzianym wiékiem czuwały. Mieszkał tam jego ojciec, mieszkali jego bracia i siostry, z których kilkoro było jeszcze dziećmi, a teraz może siedzą zgromadzone wokoło rodzinnego ogniska, i mówią o śmiałym rycerskim Kozroesie (gdyż Szamak byłoto tylko jego w niewoli przybrane imie) i topią się w smutnych domysłach o jego losie.

A przy tych myślach zstąpił nań duch jego młodości, i łzy gniewu, a nie żalu, zakręciły mu się w zrenicy; gdyż na rozkazto ojca wyruszył on w pole, i za ojczyznę dobył oręża.

Śród walki takich uczuć, potrącił Szamak o coś nogą, co nie było kamieniem, lecz owszem za potrąceniem, potoczyło się miąszysto. Spojrzał więc na ziemię i postrzegł, iż to był worek z pieniędzmi, a nawet duży i pełny. Z niesłychaną radością pochwycił go Szamak z ziemi, i ważąc to kosztowne brzemię na ręce, uczuł, iż posiadł klucz do swéj ojczystéj zagrody, sposób oswobodzenia się z pęt jasyru. Zaraz też ciemna chmura niewoli zniknęła mu zprzed oczu ducha, krok jego nabrał dawnéj lekkości, zdało mu się, że jednym skokiem zdoła przeskoczyć rzékę i uwolnić się nazawsze od rozkazów Kamara, które jakkolwiek łagodne i sprawiedliwe, zawsze jednakże były rozkazami pana.

Zrazu niby mu się nasunęło w myśli życzenie, mieć jeszcze sposobność pożegnania dobrego, uczciwego staruszka i złożenia córce jego podzięki za miłe spojrzenia, jakiemi go nieraz pocieszała; ale w końcu postanowił raczéj nie widzieć już ani ojca ani córki, i nie zdawać swego szczęścia, swojéj sławy, swojéj pewnéj nadziei powrocenia do ojczyzny, na ślepe zrządzenie losu; a gdy się w téj myśli utwierdził, potoczyły mu się łzy radości po twarzy, i przyciskał worek z pieniędzmi do serca, całując go i błogosławiąc.

Poczém podniósł swój — jak teraz postrzegł, starannie opieczętowany skarb w górę, aby mu się przy świetle księżyca lepiéj przypatrzéć; ale ta radość jego nie długo trwała. »A jeżli jaki ubogi podróżny" — rzekł sam do siebie — »przechodząc tędy, całe swoje mienie tu zgubił? Może to był jaki przejeżdżający kupiec, który z cieżkim zarobkiem lat wielu, chciał wracać do swojéj żony i dzieci. Mamże jak rozbójnik przywłaszczać sobie własność cudzą, serce jego sztyletem boleści przeszywać, że dusza moja za wolnością utęsknia? Raczéj wolę w więzach zginąć, i nigdy nie obaczyć oblicza ojca mego! Leż sobie tu, zwodnicza mamono, i służ swemu prawemu panu; moja dusza i bez twojéj pomocy się oswobodzi.„ A rzekłszy to, rzucił pieniądze na ziemię, i usiadł sobie na boku, aby zaczekać, aż może właściciel zgubionego skarbu powróci, i po drodze szukać będzie.

Podczas gdy tak w milczeniu siedział, i nad całém zdarzeniem się zastanawiał, przyszło mu na myśl, iż widział pieczątkę na worku. Poskoczył więc, aby ją bliżéj oglądnął, a gdy to się stało, przekonał się po imieniu swego pana na pieczątce, iż to były pieniądze Kamara, zaczém i myśli jego wcale inny kierunek wzięły „Skarb ten" — rzekł sam do siebie — „zesłany mi jest w nagrodę niewoli, i samto los wsunął mi go w rece, aby mi się za doznane tu cierpienia wypłacił. Przyjmuję więc dar twój o losie, i zrobię z niego święty u-

żytek. Wydrę ten skarb skalanéj ręce Sunity, uniosę go w granice perskie, i ułatwię sobie nim powrót do ojczystego domu.... Ale może to część posagu Fatymy, a ona dowiedziawszy się o mojém oddaleniu, mogłaby z goryczą o mnie wspominać, jako o człowieku, który jéj boleść sprawił, i który widoki jéj szczęścia zniszczył. I mogęż ja w istocie żyć odalony od Fatymy? Nie sąż nadzieje moje jak pisklęta gołębie, a jéj spojrzenia jak tkliwa miłość gołębicy, która je żywi? Mogęż ja oddéchać powietrzem, któregoby jéj westchnienia wonnym balsamem nie zaprawiły? Alboż mi jéj oczy, chociaż ona sama milczała, jak posłanniki duszy, nie zwiastowały jéj miłości? Czyż głos jéj łagodniéj i wdzięczniéj nie brzmi, gdy imię moje wymawia? I nie jestże moje własne serce najlepszym tłumaczem téj wyroczni, która w jéj sercu żyje? Ja kocham, a dusza moja zdolną jest podłéj namiętności? Nie, nie, wrócę do moich więzów, rozerwę je w obliczu słońca i ludzi, ale jak niewolnik uciekać nie będę.»

Tymczasem udał się był Kamar do świetlicy swéj córki, i uwiadomił ją o tém, co zrobił; dodając, iż Szamak w téj chwili zapewne już znajduje się w drodze do Persyi, i szydzi sobie z brody swego starego pana, i z pięknych ócz jego córki.

Fatyma, słowami ojca do żywego wzruszona, starała się zrazu przytłumić swój wewnętrzny niepokój, a potém żałośnie zawołała:

»Niech dusza moja na zawsze przepadnie, jeźli on uszedł! Mój ojcze, nie godzi się człowiekowi, jak tobie, który w jedynego Boga wierzysz, ciskać w ten sposób proch na głowę nieszczęśliwego. Jeżeli Szamak ci omierzł, każ mu odejść, lecz tak, aby wziął z sobą dobrą swą sławę, i serce swojéj matki nią uradował Każ mu odejść, powtarzam, ale jak mi Bóg miły, weźmie on z sobą do Persyi serce twéj córki, która chociaż niezdolna sprzeciwiać się twojéj woli, jednakże będzie już zawsze dążyła duszą za nim, jak dąży ów kwiat, co naprzeciw zachodowi słońca, liść swój rozwija, i wieczornym wiatrom swój rozwarty kielich nadstawia.»

To mówiąc zbladła Fatyma śmiertelnie, a całe jéj ciało drżało od wewnętrznego wzruszenia jak drży liść osiki na wietrze.

„*Allah yayssen!* Dziéj się wola boża!” odrzekł ojciec — „jeźli wróci, twój ojciec będzie mu ojcem, a twój dom jego domem. Jeźli zaś ujdzie, niech nieszczęście jego na własną głowę jego spadnie.»

Poczém oboje, ojciec i córka, jakby za umową umilkli, i w niezwyczajném poruszeniu po komnacie się przechadzali, oczekując powrotu Szamaka. Przy każdém stąpieniu jakiego niewolnika, który w pełnieniu służby, po długim korytarzu przechodził, albo dla odebrania rozkazów do drzwi komnaty się zbliżył; serca ich gwałtownie uderzały, a oczekiwanie coraz silniéj się wzmagało.

Światło księżycowe padając oknem w komnatę, znaczną jéj część blaskiem swym rozjaśniło. Godzina spoczynku dawno już była nadeszła, a przecież ani ojciec ani córka nie udali się na spoczynek. Mieli bowiem zanadto żywy udział w powrocie lub oddaleniu się Szamaka, aby mogli byli o śnie pomyśléć; gotowi byli raczéj czuwać aż do świtu, gdyby Szamak wcześniéj nie wrócił.

Im później w noc zachodziło, tém żywiéj odzywała się w Fatymie trwoga, jakkolwiek ani na chwile nadzieja zupełnie z duszy jéj nie ustępywała. Stary Kamar, nie mając bynajmniéj ochoty do radowania się ze ziszczenia swéj przepowiedni, spoglądał stroskaném okiem na córkę. Wszyscy niewolnicy domu udali się już byli na spoczynek, prócz staréj mamki Fatymy, która nigdy przed swoją mleczną córką spać się nie kładła, a teraz w milczeniu na progu domu siedziała, jak sfinks przed egipską świątynią, strzegący wewnątrz ukrytych skarbów.

Nadeszła północ, a nadzieje i obawa biédnéj Fatymy, doszły już do najwyższego stopnia; gdy oto naraz dało się słyszéć powolne stąpanie na korytarzu, i po chwili, wprowadzony przez mamkę wszedł Szamak, trzymając w ręku worek z pieniędzmi. Skłoniwszy się z uszanowaniem Kamarowi, podał mu pieniądze, opowiedział gdzie je znalazł, i chciał już odejść.

»Zostań Szamaku» — ozwał się stary Turek — »odpowiedz mi na jedno zapytanie: Czy żyje jeszcze twój ojciec?»

»Bóg wielki!» odpowiedział niewolnik. »Spodziéwam się, iż żyje.»

»Któż on jest?»

„Jesteś panem mojéj pracy, Kamarze, lecz nie tajemnic moich.»

„Odpowiedz mu, Szamaku, jak ci dusza twa miłą» — przemówiła Fatyma.

„Uczynię to na twoje prośby» — rzekł Szamak— »mój ojciec jest namiestnikiem sułtańskim w Kermanszah.»

„Zaczekaj» — przejął Kamar, wstrzymując odchodzącego jeńca. — „Jeszcze mi na to odpowiedz: Czy masz już żonę?»

„Nié mam.»

»I poznałżeś już istotę, którą mógbyś pokochać.»

„Poznałem.»

„Jestże to moja córka?»

»Ona.»

„A więc weź ją w imię Boga, a błogosławieństwo moje niech spocznie na was obojgu.»

Wszyscy zamilkli na chwilę, a Kamar ozwał się w końcu: »Więc jesteś Kozroes-Kan, a nie Szamak?„

„Jestem nim" — odrzekł syn namiestnika.

Poczém uściskał go starzec serdecznie, i rozpłakał się z radości.

Reszty sam się czytelnik domyśli.

Dwie królowe,

CZYLI:

SZALONY I SZALEŃCY.

W rotundzie królewskiego ogrodu w Wersalu, pomiędzy tysiącami wodotrysków, których promienie bawiły oko królewskie, stał marmurowy posąg Nimfy, niezrównanéj piękności, w prawdziwym stylu antyku.

Jednakże mimo swą cudną piękność, stojąc tak otoczona mszystémi skały, grupami lwów z rozdziawionémi paszczami, pośród Syren z pryskającémi ogonami rybiémi, pośród pierzchliwych Amorków, i niezgrabnych bałwanów, przedstawiających Wenerę, Neptuna i innych bożków; zdała się Nimfa zasmuconą być samotnicą. Żaden przyjaźny wzrok nie spojrzał w jéj czyste, niewinne oko, nikt nie upodobał sobie w jéj pełnych, dziewiczych kształtach. Margrabina Lavallière siadywała nie raz po całych godzinach na przeciw niéj, a nigdy ani przelotném spojrzeniem nie uwzględniła jéj wdzięków, równie jak i pani Montespan, chociaż się w przechodzie prawie o śnieżne jéj ramiona ocierała; a niemniéj też i panie Maintenon i Dubarry, nie miały oczu dla tego marmurowego obrazu czystości i niewinności.

Atoli dnia jednego pewien młody malarz włoski wszedł pomiędzy te sztucznie napiętrzone, omszone groty, pomiędzy te sztywnie poprzykrawywane klą̨by, i te niezgrabnie powyciosywane, ponad błotnémi kanałami zawieszone mosty; co wszystko obaczywszy, przejął się radosną dumą na tę myśl, że jego klasyczna ojczyzna, od tego skażonego, spotworzonego smaku wolną była.

Aż oto przypadkiem — jakto w kolejach losów ludzkich często się zdarza — oko jego pada na ów cudowny posąg, i z niewysłowioną radością poznaje śród tych dziwotworów, natchniony utwór prawdziwéj sztuki swojéj ojczyzny: widzi drżącą dziewicę, która — że jéj pieściwe ciałko zimny szlam okrapia — wzdéchając obie nagie nóżki stula, i przed ciekawém okiem, strumieniem swych włosów, wstydliwie się osłania.

Młody malarz zbliża się nieśmiało do swojéj pięknéj osamotnionéj ziomki, wlepia swój zachwycony wzrok w jéj tęskne oko, przyciska ją do łona, ożywia zimny marmur, ogrzéwa swojém tchnieniem zdrętwiałe nogi, czuje lekkie bicie jéj serca, i przenika jéj pierś miłością i zaufaniem.

Odtąd zwierza on codziennie ubóstwionéj kochance przepełnione serce swoje, udziela jéj swoich zamysłów, swoich uciech i cierpień, szczęśliwy, kiedy z lubym uśmiéchem wyznań jego słuchając, czystych mu pieszczot nie wzbroni, i kiedy — jak mu się to zdaje — ku niemu skłoniwszy się, potajemnie szepnie:

»Kochanku mojéj duszy! Jedyny któryś mię pojął! Jakże mogłeś w zatrutym powiewie tutejszego powietrza, w kale tutejszego zepsucia, tak czyste zachować serce? jak mogłeś będąc tak młodym i ognistym, oprzéć się porywowi burzy, która tu powstaje, jak mogłeś białéj, nieskalanéj szaty młodości, nie zamienić za zbroję morderczéj walki, która tu wokoło wreć zaczyna? Jesteś mężczyzną a chcesz się zrzéc sławy i władzy, chcesz poprzestawać jedynie na mojéj miłości? Dobrze! Ale wiédz o tém: Musisz mię wiernie i gorąco kochać, jak ja cię kocham! A jeżli to prawda, więc uciekajmy ztąd razem!... Bo, patrz, już ciemne chmury ze wszech stron nadciągają, zbliża się burza, grzmot się budzi, już wodotryski grać przestały, wichr wyje i toczy burzliwie wkoło królewskiego pałacu, jakby miał otrząść zżółkły liść jesieni — o pójdź, pójdź kochanku, szukajmy gdzieindziéj sercom naszym schronienia!»

Młodzian upojony miłością, trzymał ją w objęciu — i nie zimnyto marmur tulił mu się do łona.

Tak, w milczeniu, śród błogiéj wymiany miłośnych spojrzeń i westchnień, przeżyli kochankowie piérwsze słodkie chwile swojéj tajemnéj miłości, aż nadszedł dzień spełnienia przepowiedni, a z ciemnéj chmury rozdęła się okropna burza, która nawet najśmielszych zatrwożyła. Ze stu tysięcy gardzioł zawył razem grom buntu, i w jednéj chwili runęły we Francyi ołtarze i ustawy, runął tron i szlachectwo, runęły miłość i piękność, wolność i służalstwo, sztuki i umiejętności! Dość było jednego dnia na odpokutowanie szalonéj pychy marnotrawnych stuleci; nastał chaos, okropniejszy od chaosu pierwszego stworzenia, gdyż byłto chaos dawno tlejących żywiołów, chaos dawnych praw, dawnych władz i zwierzchności. Cała horda żądz ludzkich pędziła do jednéj tylko mety, o jednéj tylko namiętności wiedziéć chciała, namiętności, która wszystkie inne w sobie zawierała, a tą namiętnością była — rewolucyja. Kto pragnął pokoju, sprawiedliwości, miłości, był pośmiewiskiem wszystkich.

Tylko nasz młody malarz przechował jeszcze miłość w swém sercu. Onato pogodne oko jego odwracała od krwawego zamętu na ziemi, i unosiła go w niebo, i jéjto wymowne milczenie, zagłuszało mu wrzawę rozruchu. Królowa jego serca i jego marzeń, była jeszcze jedyną we Francyi królową, na

którą nikt świętokradzką dłonią targnąć się nie śmiał. Młodzian był jéj strażą, jéj rycerzem, ona była jedynym jego skarbem, jego dumą, jego wszystkim.

Lecz dnia jednego wcale inna ochota goni wzburzone tłumy ku Wersalowi. Krwi! krwi, zapragnęły! Na wyścig zaprzęgają się najzuchwalsi do dział, śmierć i zniszczenie niosących, a stosami kamieni zamykają ulice!

Pełen trwogi i zgrozy, pomny kochanki, która go czeka, rzuca się młodzieniec znaną sobie drogą, ale cóż tam za widok go uderza! Oto szeroka płaszczyzna pełna głów płci obojéj, zbitych w mur żywy, rozdziela go od upragnionéj ustroni. Aby się jednak choćby krok za krokiem do swéj zbliżył świątyni, przyłącza się z pełną miłości piersią, do téj rozjadłéj tłuszczy, któréj zbrodniczym celem — królowa.

Tak więc zaślepione namiętnością, niewinność i zbrodnia, jakby w ścisłém zostawały przymierzu, jedną idą drogą

Gdy rozhukana tłuszcza zamek królewski otoczyła, a wrzask okropny: »Precz z królową!« rozległ się szeroko, nasz rozkochany artysta biegł spiesznо bocznémi ścieżkami do swojéj marmurowéj oblubienicy.

Zastał ją drżącą i przestraszoną niesłyszanémi potąd nigdy odgłosy dzikiego buntu, zastał ją wylękłą niebezpieczeństwem, w jakiém zostawał. Pochwycił ją w ramiona, i tulił silnie do piersi, gdy piekielna wrzawa: „Precz, precz z krolową!” coraz bliżéj i głośniéj huczała, a wreszcie jakaś zbrojna zgraja obszarpanych zuchwalców — „Kto jesteś?” wołając — »co tu robisz? Dalej z nami na zamek! Precz z tyranami!« — zapamiętale nań się rzuciła.

Osłaniając płaszczem kochankę, i przedsięwziąwszy razem z nią i za nią umrzéć, stanął młodzieniec jakby lew rozdrażniony, choćby do chwilowego odporu. Aż nazbyt bowiem wyraźnie przedstawiał mu się los kochanki, gdyby srogie zniszczenia dzieło aż ku jéj cichemu przedarło się przybytkowi; natenczasby i ona, jak zwyczajna królowa, stała się pastwą pożądliwych spojrzeń mężkich, przedmiotem bluźnierstw bezwstydnych kobiét, złości i rozjuszenia wszystkiéj tłuszczy

Żałosne, o litość błagające spojrzenie kochanki, które zdawało się mówić: „Bracie, przyjacielu, nie daj mnie tym potworom na zgubę!” — skłoniło go do ostateczności: postanowił spieszno dzień wesela zamienić w dzień zgonu ubóstwionéj swéj oblubienicy!

„Kto mi z was pożyczy miecza?” zawołał rozkazującym głosem do tłuszczy, która to usłyszawszy, zdziwiona oczy nań wytrzeszczyła W téjże chwili schwycił podany sobie miecz do ręki, świeżą krwią ociekły, i obrócił się z rozpaczą do Nimfy mówiąc:

„Żegnam cię bóstwo mojéj duszy! Wracaj zkądeś zstąpiła, wracaj do nieba, gdzie jesteś bezpieczną przed obelgami tych zaślepionych barbarzyńców! — Przebacz mi! Umiéraj z rąk kochanka!”

Stało się.

Głowa pięknéj Nimfy spadła u nóg jego — białe ramiona rozstały się z łabędzią szyją! Młodzieniec, żałością skrętwiały, klęczał u stóp straconéj!

Mordercza tłuszcza cofnęła się zdziwiona. Tak wielki szał, przeraził ją, nie śmiała targnąć się na zabójcę posągu, i rozmarzona własnym szałem, poszła swoją drogą, wrzeszcząc straszliwym chórem: „Królowa, królowa! Precz z królową!”

Nazajutrz widziano szalonego kochanka na czele morderczego tłumu; oba, tłum i kochanek, byli zwycięzko uradowani: tłum dopełnioną na królowéj zbrodnią, kochanek poświęceniem swojéj miłości; tamten wzrokiem wlepionym w rusztowanie królowéj, ten spojrzeniem na odciętą głowę królowéj serca swego.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 27my i zawiera: 1) Rzecz krótka o gospodarstwie krajowém Podług M. Cullocha. (Ciąg dalszy). 2) Łatwy sposób pozbycia się kretów. 3) Chléb ze zrosłego zboża. 4) Żyto krzyca. 5) O mące i chlebie. 6) Karmne bydło, masło i smalec. 7) Kléj wodotrwały. 8) Posiedzenie c. k. Towarzystwa agronomicznego we Lwowie na dniu 30 czerwca r. b. 9) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 10) Uwiadomienie potoczne.

Pius IX jest nadzwyczajnie szczodrobliwym dla ubogich; daje bezustannie, póki co ma; przeto téż jego prywatna kasa co chwila ze szczętem się wypróżnia. I tak, przed niedawnym czasem chciał on u bankiera Valentini na kilka tygodni 30 000 szkudów pożyczyć, aby za to zboża dla ludu kupić. Ale że ta pożyczka czysto prywatnym miała być interesem, przeto posłał papież bankierowi zastaw, wartujący przeszło 100.000 szkudów. Bankier zaś wzbraniał się ten zastaw przyjąć, i dopiéro wtedy się skłonił, gdy papież mu oświadczył, że inaczéj pożyczonych pieniędzy nie przyjmie.

Napoleon katechetą. Przed blizko dwudziestą laty bawił arcybiskup z B. w kąpielach Aix-les-Bains w Sabaudyi Zdarzyło się jednego razu, iż go tam do młodéj umierającéj dziewczyny wezwano. Byłato córka jednego z jenerałów Napoleońskich, słynąca z piękności i dobroci serca. W ciągu rozmowy z arcypasterzem, wynurzała ona tak wzniosłe zasady religijne, iż kapłan, do łez wzruszony, zapytał, kto jéj takowe wpoił. »Prócz Boga« — odpowiedziała chora — »winnam religijność moję cesarzowi. Bawiłam z rodzicami na wyspie św. Heleny Tamto, gdym rok dziesiąty zaczęła, ozwał się raz cesarz do mnie: »Moje dziécię, jesteś ładną, za kilka lat

będziesz jeszcze powabniejszą. Przy takich wdziękach zewnętrznych, czekają cię w świecie mnogie niebezpieczeństwa. Czyż zmożesz je odeprzeć, nie będąc osłonioną tarczą religii. Ale ktoż tu jéj zasad cię nauczy? Twój ojciec nie czuje potrzeby religii, równie jak i twoja matka. Chybaż ja więc podejmę się obowiązku, który na nich ciąży. Przyjdźże nazajutrz do mnie, a zaczniemy naukę.« I przez dwa lata chodziłam z katechizmem w ręku kilka razy co tydzień do cesarza, a on kazał mi czytać z książki, i objaśniał mi wszystko. Gdym już trzynaście lat miała, rzekł cesarz do mnie: »Teraz, moje dziécię, jesteś jak sądzę, dość obeznana z nauką wiary. Powinnaś więc przysposobić się do przyjęcia komunii św. Każę przywołać osobnego kapłana z Francyi, który ciebie do tego uroczystego obrzędu, a mnie do — śmierci przygotuje.« I tak się też stało.

Dziwy przyrody. Ze wszystkich trzech państw przyrody, zdaje się osobliwie państwo minerałów być przeznaczoném do tego, aby objawiało najdziwniejsze przywidzenia przyrody, która nieraz w małym niepozornym kamyku cudowne zamknęła osobliwości. W wielu muzeach przechowują kamienie, które jedynie ręką natury, bez wszelkiéj pomocy sztuki, wyrysowane na nich figury przedstawiają. Już Pliniusz wspomina o achacie, na którym widziano Apolina w pośrodku muz, z lutnią w ręku. W kościele św. Jana w Pizie, znajduje się kamień z naturalnym wizerunkiem pustelnika, który siedzi nad rzéką, i dzwónek w ręce trzyma, jak właśnie św. Antoniego malują. W kościele św. Zofii w Konstantynopolu był obraz św. Jana chrzciciela w kawałku marmuru. We Włoszech znaleziono jednego razu niewielką brytę marmuru z wyrytym na niéj krucyfiksem, z goździami, kroplami krwi, i znamionami ran, jakto żaden rzeźbiarz nie mógłby piękniéj był oddać. W Prowancyi wydobyto raz z świeżo otworzonego łomu, mnóztwo kamiennych postaci ptaków, drzew, szczurów i wężów. Angielski duchowny Webston miał wielki zbiór takich cudotwornych osobliwości przyrody, mianowicie dwa przezroczyste kamienie, z których jeden, zupełnie w kształcie starożytnéj kamei, przedstawiał głowę Minerwy, drugi zaś głowę staruszka, tak pięknie rysowaną, jakby to był utwor Rafała. Inne kamienie zdają się nawet portrety przedstawiać. I tak np. pokazują w muzeum brytańskiém czarny kamień, na którym natura podobniuteńki portret Chaucer'a wyryła. Przed niedawnym czasem donosiły dzienniki, iż znaleziono w Anglii kamień z wiernym wizerunkiem Wellingtona. — Nawet na roślinach zdarza się niekiedy coś podobnego. I tak np. rośnie na górzystych dolinach w hrabstwie Kent pewien rodzaj **orchidy**, na którym natura wyobraziła pszczołę, wysysającą niby sok z rośliny. Ztąd nazywa się ta roślina — kwiatek pszczelny.

O początkach baletu — tego dziś wraz z muzyką tak bałwochwalczą czcią otoczonego rodzaju sztuki, czytamy w pismach francuzkich: Najdawniejsze ślady baletu znajdujemy u Egipcyjan. Ci łączyli go z swojémi religijnémi obrzędami, i układali na wzór hieroglificznych rysunków. Ruchy egipskiego baletu wyrażały obrót ciał niebieskich, gdyż najwznioślejsze wyobrażenia i najgłębsze pojęcia przedstawiano w starożytności według panującego zwyczaju, jako zmysłowe piękno, w znakach symbolicznych. Grecy przenieśli egipskie tańce religijne do swoich zabaw scenicznych. Później straciły tańce sceniczne do reszty swoje znaczenie astronomijne i przybrały wtomiast charakter historyczny, przedstawiający różne powikłane ścieżki labiryntu. I w Rzymie były tańce później nadzwyczaj ulubione. Wszelako od upadku rzymskiego państwa przeskakują dziejopisowie baletu od razu kilka wieków, i zatrzymują się dopiero na epoce Medyceuszów. Jakoż wkrótce potém pojawia się prawdziwy balet. Przedstawiano go zrazu na większą stopę tylko u dworu przy znamienitych uroczystościach, jako nadzwyczajne, świąteczne widowisko. Następnie służył balet prawie wyłącznie do wyrażenia misternéj galanteryi, a w początku 17go wieku był on po największéj części tylko zlekka pokrytą satyrą. Quinault zaprowadził radykalną reformę w balecie. Już Piotr Corneille pisał sztuki dramatyczne jak »Andromeda«, w których śpiew i taniec wraz z dramatyczną osnową się kojarzą. Jakich zmian balet w najnowszych czasiech doznał, jakiéj wziętości nabył, jakiego stopnia uwielbienia dzisiejsze najznakomitsze baletniczki dostąpiły — to wszystko jest aż nadto wiadome.

Legija honorowa. Lubo izby wielokrotnie na rozrzutność teraźniejszego rządu w rozdawnictwie krzyżów i wstęg legii honorowéj uskarżały się, przecież i w tegoroczném sumie dodatkowego kredytu, znajdujemy prócz zezwolonych 48.000 franków, jeszcze nowych 55.676 franków na zakupno samego materyjału do ozdób pomienionych. Na to dziennik *»Siecle«* czyni uwagę, iż do 9938 kawalerów legii honorowéj, utworzonych od roku 1842 do 1846, przybyło świeżo 1359 nowych, przeto sam obecny Soult-Guizotowski gabinet mianował już 11.297 dygnitarzy, komandorów, oficerów i kawalerów tegoż znaku. Jakże obficie zrodził **honor** we Francyi!

Stworzenie uczonego. Legenda wschodnia. Gdy Ałłah w blasku rannego słońca stworzył **poetę**, a o wieczornym zmroku z trudem **badacza przyrody** wypracował; zdało mu się na czasie przystąpić do stworzenia niezbędnie potrzebnych rodzajowi ludzkiemu rzemieślników. Otóż stworzył szybko z kolei garncarza, piekarza, i t. d. a wreszcie, aby także mniéj niezbędnéj potrzebie zadość uczynił, stworzył **antykwaryjusza**. Na tém też zamyślał Ałłah skończyć swoję dzisiejszą pracę, i udał się na spoczynek do niebieskiego namiotu. Atoli zaledwie tam powrócił, a oto już stanął przed jego najwyższym tronem antykwaryjusz, i zaczął ze łzami w oczach narzekać, że mimo niesłychanie zniżonych cen, nie może znaleźć kupca dla swego starego towaru. Natenczas Najlitościwszy, wzruszony żalem nieboraka, wziął kawałek zeschłéj już gliny, i upostaciowawszy z niéj człowieczka, rzecze do antykwaryjusza: »Osusz łzy swoje, gdyż oto stwarzam ci istotę, na któréj będziesz mógł zyskiwać, co ci do życia jest potrzebném. Będziesz prowadził handel z jego rodzajem, a plemię jego będzie twoje pożółkłe folijanty odważać złotem i srébrem téj ziemi.« — Tak, na pociechę antykwaryjuszowi, w ostatniéj chwilce wieczornéj, stworzył jeszcze Ałłah człowieczka, a tym człowieczkiem był — **uczony z książki**.

Statystyka wdów w Paryżu. W liczbie 1200 000 mieszkańców Paryża jest 62.000 kobiét, które się zowią wdowami. Oto prawdopodobna statystyka onych: istotnych wdów 20.000, problematycznych, to jest takich, których mężowie może jeszcze żyją, 6.800; wdów, które nigdy mężów nie miały, 18.000; wdów, które się »pobożnémi« nazywać każą, 4500; wdów z prowincyi, których czcigodności sprawdzić trudno, 6500; starych panien, które wolą uchodzić za wdowy, 5200 — razem 62.000.

Anglija w Szwajcaryi. Stara, wolna i niepodległa Szwajcarya podaje się coraz korniéj panowaniu gwinejów, zapomina swoje własne dzieje i obyczaje, aby się od dnia do dnia coraz widoczniéj zanglizowała. Kto wszedłszy pomiędzy odwieczne jéj góry, poprosi alpejskiego pastérza, aby mu sławną szwajcarską pieśń pastuszą zanócił, ten może być pewnym, że mu góral angielskie »*God save the king*« na flecie zadmie. Wstąpiwszy do samotnéj pastérskiéj chaty, postrzegamy nad drzwiami, obok niezgrabnéj rzeźby, przedstawiającéj Wilhelma Tella, blaszane godło kompanii asekuracyjnéj w Zurychu lub w Bernie: chata alpejska jest należycie od ognia, a nawet od lawin zabezpieczoną. Gdy na uprzejme zapytanie: czy dostaniemy tu śniadania? spodziéwamy się góralskiéj przekąski z jaj i mleka złożonéj; ujrzymy się niezawodnie uraczeni rostbeafem, pudingiem, angielską wódką i sérem z Chester; ktoby szwajcarskiego séra zażądał, musiałby do Anglii albo Szkocyi po niego posłać. Po wetach zachodzi nam drogę młody, smukły parobek góralski, nazywający się John lub Toms, i podaje nam rachunek, którego ceny w drogości cenom najpierwszéj oberży londyńskiéj nie ustępują. Wreszcie przy kawie częstują nas angielskim dziennikiem, gdyż każda prawie chata pasterska prenumeruje na »*Morning Chronicle*« lub »*Galignani's Messenger*.«

Wygasły rodzaj psów. Na wyspach kanaryjskich odkryto przy łupaniu kamieni cały, nienaruszony szkielet ogromnego psa; francuzki ajent konsularny nabył go, i przesłał do muzeum historyi naturalnéj w Paryżu. Jestto bardzo ważne dla zoologii odkrycie, o ile że ten szkielet należy do rasy psów olbrzymich, od których, według Pliniusza wyspy kanaryjskie (psie) nazwę wzięły, a któráto rasa od wieków z ziemi zniknęła.

Największym sadem brzoskwiniowym jest zapewne ten, który w roku 1831 koło Debaware w północnéj Ameryce założono. Obejmuje on 140 morgów pola, i liczy blizko 14.000 drzew. W roku przeszłym zebrano po koszu owoców z każdego drzewa, a zatém 14.000 koszów, czyli mniéj więcéj półtora milijona brzoskwiń. Każda brzoskwinia dochodziła prawie wielkości pięzdi mezkiéj, a dwa statki parowe rozwoziły wciąż te owoce do Filadelfii i Nowego Jorku, gdzie je w krótkim czasie (po 5 — 6 dolarów za 100) rozprzedano. W taki sposób uczynił ten sad w roku przeszłym więcéj niż 40.000 dolarów czystego dochodu.

Cwał o zakład. Czytujemy w dziennikach o szalonych zakładach, mających na celu jak najszybsze przebieżenie konno pewnéj, niekiedy dość znacznéj odległości. Nie jestto rzecz wcale nowa. Już przed blizko dwiestą laty, założył się hrabia Saillant z księciem Condé o 100.000 liwrów, iż dwa razy od bramy St. Dénis w Paryżu do Chantilly cwałem konno zajedzie, i po sześciu godzinach nazad z powrotem stanie. Odległość między bramą St. Dénis w Paryżu a Chantilly czyni 30 mil francuzkich. Hrabia ściągnął się mocno pasem rzemiennym, owinął całe ciało bandażami flanelowémi, i wziął kulę ołowianą w usta, aby je zawsze chłodno i wilgotnie utrzymać. W kilku miejscach po drodze stały świéże konie rozstawione. Usunięto wszystko starannie, co najmniejszą sprawić mogło zwłokę. Zmieniając konie, przeskakiwał hrabia z jednego siodła na drugie, nie stając nogą na ziemi. Jakoż powiodło mu się wygrać zakład, i to jeszcze o 18 minut przed wyznaczonym terminem, z któréjto przewyżki czasu korzystając, pospieszył hrabia jeszcze do Wersalu, aby mocno tym zakładem zajmującemu się królowi o swojéj wygranéj donieść. Niestety, już w pół roku po tém zwycięztwie umarł śmiały jeździec, a lekarze oświadczyli, iż śmiertelna jego choroba była skutkiem nadzwyczajnego natężenia przy owym biegu.

Nowe przeznaczenie krzeseł. W jednym z najmodniejszych magazynów, kupił ktoś niedawno bardzo piękne, lekkie, wytworne krzesło. Nazajutrz przyszedł do niego przyjaciel, i nim jeszcze siadł na nie, już się modny sprzęt, jakby z saméj trwogi, zgruchotał. Nabywca tego kruchego towaru, zebrał więc sumiennie wszystkie szczątki, i udał się znów do magazynu, aby się tam na zły towar uskarżyć. Modny właściciel magazynu, patrzy zdumiony na zgruchotane krzesło, i nie może pojąć, jakim ono sposobem na taki koniec przyjść mogło. »A zaręczam pana« — ozwie się rozżalony nabywca, »że przyjaciel mój jeszcze nie siadł był całkiem na krzesło...« — »Jakto!« — zawołał kupiec — »nie siadł był! A więc siadał? Otoż mamy!« — »Coż u licha!« — odpowié tamten — »alboż na co zresztą kupiłem krzesło, jeźli na niém siedzieć nie można?« — »Mój panie!« — zakonkludował właściciel sklepu — »jeźli się kupuje modne sprzęty, tedy trzeba przedewszystkiém umieć ich używać: Krzesła moje nie są do siedzenia, lecz dla przyozdobienia salonu.«

Zemsta artysty. Jak wiadomo, musiał Kean, zanim znakomity talent swój ustalić zdołał, wiele znieść prześladowania ze strony dyrektora teatru. Jednak po niedługim czasie stał się bożyszczem publiczności. Pewnego razu, gdy przedstawiając Ryszarda IIIgo w natłoczonym widzami teatrze, prawdziwe wywołał uniesienie — wszedł do jego garderoby dyrektor teatru, i obsypał go pochwałami. Ale artysta, siedząc właśnie przy sporéj szklance ponczu, którymto napojem zwykle posilał się po rolach natężających, — spojrzał na wchodzącego z szyderczym uśmiéchem, a gdy dyrektor nie ustawał wygłaszać swoję mowę pochwalną, zniecierpliwiony artysta przerwał mu ją słowami pełnémi wyrzutu: »Jako, teraz dopiéro, kiedy z mojéj przyczyny kasa pana napełnia się złotem, teraz dopiéro przyznajesz, że Kean jest znakomitym aktorem; a czemużto piérwéj, gdym w roli Shyloka chciał wystąpić, byłeś pan tego zdania, że publiczność mię wygwiżdże? Wtedy byłem biédny i bez przytułku, dla tegoś starał się ile możności poniżyć mię, dziś aż do zbytku obdarzasz mię swojémi pochwałami. Zaprawdę, czuję się zobowiązanym do odwdzięczenia, jednakże nie w inny, jak tylko w ten sposób, który mi się za najstosowniejszy wydaje: Raczże zakosztować ponczu z téj szklenicy.« To mówiąc, wylał wszystek poncz na osłupiałego dyrektora, który na wpół sparzony uciekł z wrzaskiem i jękiem. Dziennik »Blakswoods« opowiadając tę anegdotę, jest tego zdania, że zdałoby się czasami niejednemu dyrektorowi, w podobny sposób być wdzięcznym.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.